OGNISKO DOMOWE

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 4 CHOJNICE Nr. 37

Ewangelja.

W on czas: szedł Jezus do miasta, które zowią Naim a z nim szli uczniowie jego, i rzesza wielka. A gdy się przybliżył ku bramie miejskiej, oto wynoszono umarłego syna jedynego matki jego: a ta była wdowa: a rzesza miejska wielka z nią. Którą ujrzawszy Pan, ulitował się nad nią, i rzekł jej: nie płacz. I przystąpił i dotknął się mar. A ci co nieśli, stanęli. I rzekł: młodzieńcze, tobie mówię, wstań. I usiadł on, który był umarły, i począł mówić: i dał go matce jego, i zdjął wszystkie strach i wielbili Boga mówiąc: że Prorok wielki powstał między nami: a iż Bóg nawiedził lud swój.

Nauka.

Szedł Jezus do miasta, które zowią Naim.

Uważajmy z tego jak pilnie Chrystus Pan spełniał dzieło swoje szukając przedewszystkiem chwały Ojca swego; jak wszędzie gdzie się tylko obrócił czynił ludziom dobrze. Bo: albo nauczał drogi zbawienia, albo chorych uzdrawiał, albo nieszczęśliwych wspomagał. Słowem wszędy czynił wszystko, co było ku czci i chwale Boga, i ku pożytkowi ludzi, tak co do duszy, jak i co do ciała. Obchodził wszystką ziemię żydowską dobrze czyniąc wszystkim, wspomożenia Jego potrzebującym, mówi Pismo św.

A nasze pielgrzymki do miejsc cudownych, lub na odpusty, czyż są również pożyteczne dla chwały Boga i dla bliźnich naszych?

Niestety i Najczęściej w tych naszych pielgrzymkach nie tylko nie odnosimy żadnego pożytku dla duszy naszej; ale przeciwnie, jeszcze więcej grzechami swojemi obciążamy sumienie i swem zachowaniem się niestosownem dajemy zgorszenie bliźnim naszym.

Ileż to razy widzieć się daje na odpustach mocno podpiłych Chrześcijan, którzy, zapomniawszy po co tam poszli na miejsce święte, taką nie przyzwoitością pobożnych ludzi zasmucają, a dla innej wiary osób, dają okazję do naigrawania się nawet z imienia chrześcijańskiego.

Inni znowu podejmują pielgrzymki nie z prawdziwej pobożności, ale, aby uniknąć pracy, na którą każdy człowiek jest skazany i której oddawać się powinien według stanu swego.

Otóż pielgrzymki Zbawiciela Pana niech nam zawsze będą wzorem, jak i my swoje urządzać mamy, to jest: aby przyniosły większą chwałę Bogu i zbudowanie dla bliźnich naszych.

A z Nim szli uczniowie jego i rzesza wielka. Aby miał Chrystus Pan wielu świadków nadzwyczajnego tego cudu.

Przyszedł tedy Pan nasz do miasta Naim, aby w niem nie tylko mieszkał, ale aby też rzecz miłą i wdzięczną uczynił; aby się rzecz zgadzała z nazwą tego miasta. Naim bowiem oznacza piękność, wesele.

O błogosławione to miasto! Błogosławiony człowiek! Błogosławiony to dom, do których Zbawiciel nasz przyjdzie! bo tam pewno wszystko dobro z Nim przyjdzie... Z wielu przykładów Pisma św. wiedzieć o tem możemy.

Wszedł Chrystus Pan do domu Piotra i wnet świekra jego, która była chorą na febrę, zdrowie odzyskała. Wszedł do domu Mateusza i wnet go z celnika apostołem uczynił. Wszedł do domu Zacheusza i wnet stało się zbawienie temu domowi.

Także i tu przyszedł do miasta Naim i wnet umarły został ożywiony, a stroskana matka była pocieszona.

Z drugiej znowu strony, kogo Pan Jezus opuści, tym już wszystko źle idzie. Dlatego i Marta, siostra Łazarza, tę przyczynę dała śmierci brata swego, że ten Pocieszyciel dawno u nich nie był. Panie, powiada, byś tu był, nie umarłby brat mój.

I u nas dziś, najmilsi, nie inna przyczyna złego, tylko ta, że Chrystusa Pana do domu swego nie przyjmujemy i nie wpuszczamy, bo zaraz zatem idzie, co Bóg niegdyś do żydów powiedział: Wyście Mnie opuścili i Jam was opuścił.

Czyście się też zastanawiali, najmilsi, zkąd to pochodzi, że w tym lub owym domu głowa rodziny marnuje swoje mienie na pijatyki i inne nieuczciwe rzorywki?; lub matka rodziny zaniedbuje swoje obowiązki, albo dzieci są krnąbrne, nieposłuszne, rodziców swoich nie szanują; a ztąd dalej dla braku porządku, przychodzi niedostatek... ubóstwo?.. Oto ztąd poszło, że tam Chrystusa Pana niebyło i niema....

GŁOWA SWIĘTEJ BARBARY.

POWIEŚĆ Z PRZESZŁOŚCI POMORZA.

NAPISAŁ X. KUJOT.

(Ciąg dalszy)

Inny głęboko zarył nogą w ziemię i spierając się na trupie, mierzy jeszcze mieczem, ale niema przed min przeciwnika, ręka też zwisła, tylko palce jak

kleszcze opasały zimną stal. Już on nie żyje. A w około każdego szeroka czerwona plama na ziemi, a szaty zbroczone, a tu i owdzie z konającej piersi wydobywają się ciężkie jęki boleści, przy których ciało drga we wszystkich członkach. Porąbane tarcze, złamane miecze i bardysze tarzały się w nieładzie po bruku, a z dogorywającego ognia pod zamkiem wzbijał się czasem mały płomyk ginący zaraz w dymie i popiele. Z wielkiej świetlicy, gdzie wiejskie niewiasty i dzieci siedziały już pod zamknięciem Krzyżaków, wydobywały się rozpaczliwe jęki i skargi, a tuż przy drzwiach z wolna poczynał oddychać stary Dargosław z poszarpaną i okrwawioną na piersiach odzieżą i pani wojewodzina, dla której zaciężnicy trochę barłogu na posłanie. W kącie jednym jęczała we krwi zraniona służebna panna, którą zdobyli Niemcy, gdy się nad brzegiem Wisły przedzierała do Świecia. Przed zgruchotanemi drzwiami do zamku stanął siwy Dytryk i zdjąwszy ciężką przyłbicę ze spotniałego czoła, powiódł okiem po strasznem zniszczeniu.

— Zwyciężyliśmy, Kurt, — przemówił do spierającego się na krwawym mieczu rycerza, — zwyciężyliśmy; podobno już żadnego zdrowego mężczyzny w zamku niema. Teraz przekonajmy się, ile nas jeszcze żyje. —

Mówiąc to porwał za róg bawoli u boku wiszący i zadął na zwołanie plądrujących jeszcze po zamku. Na przeraźliwy głos rogu zbiegli się w chwili wszyscy, obładowani kosztownościmi i drogiemi zbrojami Świętopełka. Była ich mała tylko gromadka, i to nie wszyscy bez ran.

— Zliczmy się, — zawołał Dytryk z Bernheim.

— Jest nas wszystkich, już z wami komturze. piętnaście, — zawołał ponuro Kurt.

— Więc dziewiętnastu naszych, między nimi dwu rycerzów, poległo. To za wiele na niespodzianą napaść. —

— Ale też się bronili te Pomorzany, — odrzekł jeden z grona. — Szli jak na oślep. Patrzcie na moje pokrwawione ramię i podartą szatę. Sprawił to mi jedno mine już ale bezbronny, gdym mu wytrącił mieczem resztkę oszczepu. Nie mając żadnej broni, rzucił się na mnie i żelazną ręką tak uchwycił za ramię, że aż do kości przerwał mięsa. Ledwiem się uwolnił, uderzając go w samą głowę. —

— To prawda; — zawoł drugi, trzymając śliczny łuk z książęcej zbrojowni, — waleczni to ludzie. Już leżąc na ziemi, nawet konając, jeszcze się czepiali nóg, żeby człowieka zwalić. Dokazaliśmy trudnej sztuki. —

— Trzeba się namyślić, coby teraz począć wypadało, — zauważył znowu Dytryk. — Jest nas mało. Prawda że Świecie nam nie zaszkodzi, bo ich strzegą nasi z przeciwnego brzegu Wisły. Ale niechby książę prędko wrócił z pod Wyszogrodu, albo kasztelan z Nowego nas zaczepi? Trzeba nam prędko zasiłku, inaczej sami możem tu położyć życie jak w łapicy. —

— To pewnie wysłać na jednej z naszych łódek, co tam w sitowiu jeszcze się kryją, z dwu posłów, żeby opowiedzieli, jak się nam powiodło i poprosili o więcej załogi, — powiedział Kurt.

— Lepiej będzie, pojechać w pięciu, żeby jaki nieprzewidziany przypadek nie przeszkodził. Mogliby się osadnicy z bliskich wsi puścić w pogoń, jak się już kilka razy naszym zdarzyło, gdy samowtór się puścili na tę tu stronę. Trzebaby też dla pewności tę świętą relikwię zaraz zabrać i najznaczniejszych jeńców, osobliwie tę panią, za którą pewnie gruby grosz się dostanie skarbowi Zakonu. Pewnie ty, kochany Kurt, najlepiej się sprawisz. Może tez mistrz, gdy się z twoich ust dowie o szczęśliwej wyprawie, popamięta o tobie na Nowy Rok, gdy komturów mianować będzie. Mnie staremu już o tem nie myślić. —

Młodemu rycerzowi zaiskrzały się oczy na myśl o komturstwie. — Jak każecie Dytryku, pojadę i starać się będę, żeby szczęśliwie dojechać na tamtę stronę. —

— A więc do pracy, rzekł Dytryk, i ciężkim krokiem wstąpił na wał od strony Wisły i zadął w róg. Wnet wysunęły się z obu stron Sartawic dwie łodzie z gęstego sitowia i parte silnym zamachem kilku wiosłujących drabów stanęły pod zamkiem.

Tymczasem wychylił się z zamku ów zdrajca Piotr idąc chwiejnym krokiem, czasem zamiast jeden krok naprzód, dwa w tył stawiając i słaniając się jak trzcina, a okrutnie coś ze sobą rozprawiając. Podczas walki stał cicho na uboczu, kryjąc się w cieniu narożnego słupa zamkowego. Dopiero gdy ostatni Pomorzanie legli w rozpaczliwym boju, wysunął się i wpadł do zamku. Jeden z knechtów niemieckich, spostrzegłszy go, już go miał uderzyć bardyszem, ale na szczęście inny przeszkodził, wołając: — daj mu pokój, ady to ten. — Drugi już się dorozumiał i pogardliwie machnąwszy bronią, zwrócił się w inną stronę. Piotr zaś zginął gdzieś w sklepach.

— Hu, jak oni tu leżą, — zabełkotał do siebie, wejrzawszy niepewnem okiem na dziedziniec. — A tam w sieni Ramota z rozbitą czaszką wykrzywiał na mnie oczy — takie duże, jakby mnie wcale nie poznał. Przecie to ja, Piotr, nagi Piotr, kulawy Piotr. A czemuś wczoraj mi wierzył, że mię noga boli, patrz jaki ja zdrów! —

I chcąc pokazać, jak dobrze włada nogami, podskoczył. ale głowa, która według przeznaczenia Stwórcy ma nadawać członkom pewność i ład, u Piotra strasznie się chwiała, więc sama tylko siła ciężaru nim władała, a ta pociągnęła go w tył, aż się przeciw własnej woli oparł gwałtownie o mur, niby próbując, czyby go nie mógł przebić głową. Wszystkich Niemców na ten widok wziął pusty śmiech. — No, dla tego nogi są zdrowe, — bąknął znowu, skrobią się po silnie zbitej głowie, — jeno że mi tam coś zaprószyło makówkę. To zapewnie ten miód, którego ten stary z kluczami tak strzegł. Tak długi post tu był jeno czasem trochę cienkiego piwa i to jakby na dziecko! Wam łatwo się śmiać, kiedy nie znacie tych pomorskich świętoszków. Ale też dziś się uraczyłem. Miód słodki, jak na co, — jak miód, tak jak miód. A znalazłem go tam jeszcze dwie beczki. Nie ruszę się z Sartawic, aż one dopełnią swego celu w gardle Piotra. —

W tem ujrzał Dytryka. — A panie rycerzu, jakże wam w nowym zamku? Jeno te ciała się uprzątną i wytrzemy czerwone plamy z bruku, będzie nam tu dobrze. Tylko nie odwracajcie się tak, przecież to ja, Piotr, co wam dopomógł. — I postąpił trochę bliżej do rycerza.

— Tak tyś nam zdradził zamek, — odpowiedział Dytryk złośliwie i odwracając się do Kurta, zawołał: — Rycerzu, tego opoja zabierzcie ze sobą. Namby tu zawadzał, a kto wie czy mu ufać można.

— Hm jakto, — wyjąknął Piotr, — opój czy nie opój, ale mnie zabrać ze Sartawic, a te dwie beczki w sklepie? —

— Poradzimy im sami, a zdrajców nie potrzebujemy u siebie. Zdradziłeś Pomorzanów, zdradziłbyś i nas. —

— Ale ja nie zdradził, przecież tu mnie wysłaliście, żebym wam powiedział, kiedy będziecie mogli napaść na zamek. Czy to zdrada? — Tak się bronił Piotr, szamocący się w objęciach dwu knechtów, którzy go przemocą wyprowadzali z zamku do łodzi, w której już była święta relikwia, a obok niej leżała zwolna trzeźwiąca się wojewodzina i stary Dargosław. Ten pozierał żałosnem okiem w koło siebie nie mogąc jeszcze sobą władnąć: tylko gęste łzy, pewnie więcej z żalu jak z boleści pochodzące, płynęły po jego licu. Swieże wodne powietrze wywarło na obu jeńcach orzeźwiający wpływ.

Gdy Piotr chwiejnym krokiem wchodził do łódki, zadrżał Dargosław i mimowoli chciał się podnieść. Ale siły nie dopisały. Tylko okiem tak gniewliwem i pełnem wzgardy rzucił na Piotra, że ten, jakby go żmija ukąsiła, odwrócił się i spojrzał w drugą stronę zwieszając głowę. Łódka odbiła od lądu.

— Co ten starzec na mnie patrzy, — bąknął do siebie; — czy ja co złego zbroił? No, wydałem, że ich mało i kiedy będę stał na wale i zasunęłem skobel. Hu ty Ramoto, nie patrz tak strasznie! Czemu wyszczerzasz tak oczy? — Mówisz że ja winien twej śmierci? — I zachwiał się mocno, już stracił równowagę, łódka się wstrząsnęła i wojewodzina zawołała; — ratujcie, bo się topi. —

— To nietoperz, niech pływa, — odpowiedział zimno Kurt, który się bez współczucia przypatrywał wszystkiemu; ni swój, ni wróg. — A nieszczęśliwy topielec tylko machnął rękoma, raz się wynurzał i pochłonęła go woda. Wszyscy zdrętwieli.

— Niema czasu, ani się też chce człowiekowi wystawić życie na niebezpieczeństwo dla takiego gałgana. Za te pięćdziesiąt groszy, które mu podobno obiecali, dostaniem każdej chwili podobnego zdrajcę. —

Po chwili stanęła łódka u drugiego brzegu. Wojewodzina pod wrażeniem ostatniej chwili znowu straciła przytomność Kurt kazał ją wraz z Dargosławem, kt6rego rana w piersi strasznym przejmowała bólem, zanieść do pobliskiego gaju. Tam juz czekał luzak krzyżacki z koniem. Kurt dosiadł rumaka i poczwałował pod Chełmno, reszta strzegli skrzyni z relikwią i obu jeńców.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Oznaczony przez papieża kościelny.

Ojciec św., będąc nuncjuszem w Warszawie, bawił podczas plebiscytu śląskiego niejaki czas w Piekarach. Tu zwrócił on uwagę na kościelnego p. Karola Ciska, który wzorowo służył świątyni pątniczej. P. Cisek był pierwej górnikiem, a sam narodowo uświadomiony działał w tym kierunku na swych kolegów, za co odpokutował więzieniem pruskiem. Obecnie na uroczystościach Słowackiego w Katowicach, po ks. Biskupie i Wojewodzie przemawiał bardzo podniośle i pięknym językiem w imieniu ludu śląskiego, zyskując powszechne uznanie.

Ablegat Ojca św., Mons. Callori di Vignale, przyboczny sekretarz osobisty kancelarji Ojca św., bawiący w Warszawie, przy wręczeniu biretu kardynalskiego ks. Prymasowi Hlondowi, po powrocie do Rzymu wstąpił z towarzyszącym mu ks. biskupem Kubiną do Piekar dn. 7 bm. celem obejrzenia świątyni cudownego obrazu. Przy odjeździe podał p. Cisek serce, wykute w kruszcu cynko-ołowianym, w okolicy wydobywanym ks. ablegatowi z prośbą o doręczenie Ojcu św.

W tydzień już otrzymał p. Cisek z przybocznej kancelarji Ojca św., osobne pismo z podziękowaniem za przesłany dar i błogosławieństwo, jak również pismo dla proboszcza, ks. prałata Puchera i całej parafji. Rys to wielkiej dobroci Ojca św., pamiętającego nawet o maluczkich — a pierwszy może kościelny obdarzony szczegółowem błogosławieństwem Głowy Kościoła

Nowy kalendarz sowiecki.

Sowiecka urzędowa instytucja wydawnicza, nazywająca siebie naj większa na świecie, wydała kalendarz, który podzielił los innych wydawnictw komunistycznych: nie znajduje nabywców dobrowolnych. Każda kartka kalendarza przynosi kronikę rewolucyjnych wydarzeń ostatniego dziesięciolecia. Przedewszystkiem czytelnicy dowiadują się o „bohaterskich“ czynach czerwonych armji i zapoznają się z aforyzmami Lenina. W ciągu 365 dni uczą się konstytucji Związku sowieckich socjalistycznych republik i podziwiają postępy komunizmu we wszystkich dziedzinach życia. Dalej mają sposobność stwierdzenia, jak rozpaczliwie przedstawiają się stosunki w krajach kapitalistycznych. Walkę z religijnymi przesądami“ kalendarz prowadzi przy pomocy anegdot i karczemnych wyrazów. „Komsomol“ i czerwoni pionerzy“ znajdują w nim zaszczytne miejsce. O charakterze umieszczonych w nim „naukowych wiadomości“, świadczy taka np. notatka z dn. 26 lutego rb.: „Tłuszcz człowieka składa się z około siedmiu kawałków mydła, z żelaza objętości środkowego paznokcia, z cukru w takiej ilości, że możnaby zapełnić nią solniczkę, w takiej ilości, wapna, która pozwoliłaby na posmarowanie kurzej grzędy z fosforu w ilości 2200 zapałek, z magnezji, którąby się pomieściła na czubku noża, wreszcie z takiej ilości siarki, która w zupełności wystarczy do wypędzenia pcheł z psa; wszystkiego za jeden rubel“. Taki jest kalendarz sowiecki!

Nowy „prorok“.

Kalkuta. — Wielkie wrażenie w Birmanji wywarło pojawienie się nowego proroka, liczącego zaledwie 5 lat, imieniem Maung-Tun-Kieng. Jest to syn zwykłego parobka wiejskiego, a kapłani tłómaczą genjalne zdolności dziecka wcieleniem się w dziecko ducha zmarłego niedawno znakomitego buddysty, Junk-Jang-Saido. Genjalne dziecko cytuje z pamięci najbardziej zawiłe teksty buddyjskie, czyta księgi święte i wygłasza kazania w kilku narzeczach. Maung-Tun-Kieng w towarzystwie rodziców wędruje z miasta do miasta, a na wieść o zamierzonem jego przybyciu gromadzą się w miasta tłumy okolicznych mieszkańców, żądne ujrzenia „nowego proroka“.

Hymen na skrzydłach samolotu.

Dwie młode obywatelki New-Yorku przyrzekły być druhnami na dwóch ślubach, mających się odbyć

ego samego dnia. Nie byłoby to tak trudne, gdyby nie nadspodziewana okoliczność, bardzo komplikująca spełnienie tej obietnicy, mianowicie jedna uroczystość miała się odbyć w Princeton, druga zaś w Hartford, odległość zaś pomiędzy temi miejscowościami wynosi 450 kilometrów! A jednak dotrzymały one słowa, dzięki samolotowi, który pozwolił im odbyć tę daleką podróż — w strojach weselnych — w przeciągu półtorej godziny, co stanowi jeden z niezliczonych dziś już rekordów amerykańskich...

Manja rozwodów.

W czasach powojennych wzrosła niepomiernie ilość rozwodów, szczególnie w Anglji i Ameryce. — Stosownie do wiadomości, zebranych przez londyński urząd statystyczny, ilość rozwodów powiększyła się w ciągu 25 lat pięciokrotnie. Najwięcej na rozejście się małżonków wpływa brak dzieci, gdyż 60 proc. rozwodzących się stanowią małżeństwa bezdzietne, a 32 proc. posiadające tylko jedno dziecko. Przeciętny wiek rozwodzących się wynosi 35 lat, a rozwód następuje przeważnie w siódmym roku po ślubie, znacznie mniejszy odsetek stanowią rozwody po 10 latach od zawarcia małżeństwa, najmniejszy zaś — niżej 5 lat.

Dziecko czy zwierzę?

Siedmioletni chłopiec dotknięty tajemniczą chorobą.

Przed kilku dniami przyjechała do Łodzi ze Zduńskiej Woli żona zamożnego obywatela tamtejszego, Lipmanowa, z siedmioletnim synkiem, cierpiącym na dziwną jakąś chorobę. Dziecko, zrazu normalne, w siódmym roku życia nagle obrzękło i zaczęło chodzić na czworakach z wywieszonym językiem. Miast słów z ust jego zaczęły się wydobywać jakieś niesamowite dźwięki. Nieszczęśliwa matka zwracała się do wszystkich lekarzy w Zduńskiej Woli, żaden jednak nie mógł rozpoznać tej dziwnej choroby i jej zaradzić.

Wówczas Lipmanowa postanowiła udać się do Łodzi. Tu zwróciła się do jednego z najbardziej znanych lekarzy, lecz i ten stanął przed zagadką. Tajemnicza i straszna choroba, na którą cierpiał siedmioletni synek Lipmanowej, była mu zupełnie nieznana.

O pojawieniu się dziwnego monstrum zakomunikował kolegom, którzy poddali dziecko skrupulatnemu badaniu, nie mogąc przecież ustalić przyczyny dziwnych zmian w jego organiźmie. Ostatecznie poradzono Lipmanowej, by umieściła synka w jednej z miejscowych klinik prywatnych, co też uczyniła.

Obecnie dziecko jest przedmiotem ogromnego zainteresowania się lekarzy, którzy w dalszym ciągu nie mogą rozwiązać strasznej zagadki.

Zgon 101 letniego kanonika.

W Malines zmarł 101 letni kanonik ks. Lamal. W. z. roku obchodził ks. Lamal stulecie urodzin. W r. 1925 mając 99 lat, otrzymał nominację na kanonika w Malines.

Gdzie człowiek żyje w zgodzie z... myszą.

Ciekawe spostrzeżenia badacza M. R. Gilmore'a.

M. R. Gilmore w swej podróży antropologicznej napotkał na pewien szczep indyjski, który nietylko, że nie tępi polnych myszy, ale nawet żyje z niemi w przykładnej zgodzie, polegającej na wzajemnem świadczeniu usług. Myszy polne bowiem, podobnie jak nasze chomiki, robią w swych norach zapasy z pewnego gatunku rośliny, mającej owoce pod ziemią. Rośliny te rosną dziko i rozrzucone są rzadko, z tego też powodu zbiór jest trudny dla człowieka. Indjanin śledzi więc norki mysie i rabuje ich zapasy, zależy mu jednak na tem, aby myszy nie wyginęły, więc zapełnia zrabowane spiżarnie ziarnem kukurydzy. („Przyroda i Technika").

89 rocznica urodzin Rockefellera.

Miljarder i filantrop amerykański John Rockfeller, obchodził dnia 9. t. m. 89-tą rocznicę swych urodzin. Po skromnem przyjęciu rodzinnem odbyła się partja gry w golfa, wieczorem zaś Rockfeller przyjmował życzenia własnych urzędników.

Stary miljarder oświadczył, że jest nadzwyczaj szczęśliwy, mogąc obchodzić 89-tą rocznicę urodzin w tak doskonałem zdrowiu. Mimo podeszłego wieku Rockfeller bowiem zajmuje się żywo interesami i nie przestaje opiekować się fundacją swego imienia. Pragnie dożyć 100 lat, grając w dalszym ciągu codziennie w golfa i otrzymując w grze nadal doskonałe rezultaty.

Dwuletni proces o pocałunek.

Pewien italski sąd rozstrzygnął w tych dniach bardzo delikatną sprawę, która zaprzątała jego uwagę przez dwa lata, a która budziła niemałe zaciekawienie w Italji.

W lipcu r. 1925 przybyła pewna dama na dworzec w Riccione by odebrać bagaż. Tu spotkało ją coś, czego nie przewiduje regulamin służby kolejarskiej: podróżną porwał w objęcia kolejarz, niejaki Giacomuzzi sycylyjczyk i pocałował zaskoczoną kilka razy w usta. Dama podniosła potężne larum i przywołała znajdującego się w pobliżu małżonka, który pięściami i kopnięciami odpędził sycylyjczyka, a nadto wniósł przeciwko niemu skargę w sądzie w Rimini. Sędzia tamtejszy doszedł po długim namyśle do wniosku, że zbrodnia nie jest zbyt straszną, zwłaszcza że pocałunek jest formą powitania w tych okolicach i że nie można go nazwać zamachem na obyczajność.

Giacomuzzi'ego uwolniono, lecz oskarżycielka nie zadowoliła się tym wyrokiem i sprawa doszła aż do sądu odwoławczego w Ravennie.

Tutaj sędziowie uznali, iż pocałunek był przestępstwem, ponieważ jednak było to już tak dawno, okazali sędziowie współczucie dla oskarżonego i nie skazali go na karę więzienia.

redaktor odpowiedzialny: Łucjan Kosidowski w Chojnicach. — Drukiem i nakładem drukarni „Dziennika Pomorskiego w Chojnicach.